

MICHAŁ MAJEWSKI



Kiss
NIE UCIEKNIESZ
OD MIŁOŚCI



Michał Majewski

Nie uciekniesz od miłości

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

[Kup książkę](#)

Michał Majewski
„Nie uciekniesz od miłości”

Copyright © by **Michał Majewski**, 2020

Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Robert Rumak**

Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: 978-83-8119-760-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści:

Moja od nigdy	5
Pociąg Złamanych Serc.....	28
La casa del sol naciente	45
Amor przychodzi za późno	66
A KIEDY CIĘ TRACĘ	84
SPŁYW	99
DAWNO TEMU W HOLANDII	117
JOHNNY ANGEL	137
Nóż w szyję.....	157
ZA PÓŹNO	176

Moja od nigdy

Ilekcroć bezsenną nocą leżałem, przewracając się z boku na bok na bezlitośnie twardym łóżku, zawsze widziałem twoją uśmiechniętą twarz, nigdy niewidzianą, od nieskończoności znajomą, ale tak odległą jak bliską i poprzez to ściśle określoną jak widziadło, które było, ale którego równie dobrze mogło nie być.

W życiu nie dane nam było się spotkać, dotknąć, poczuć ciepło dłoni, zespolic.

W życiu dzieliła nas odległość ciszy i niebytu, co z kolei sprawiało, że mogłem jedynie domyślać się twojego istnienia, tego, że jesteś i że nie wymyśliłem sobie fabuły ze snów.

Bo ja wierzyłem i, pomimo wszystko, czułem całym sobą, że gdzieś jesteś, bo są czasem takie chwile, że wiemy, jesteśmy czegoś pewni, i nic nie jest w stanie tego wywrócić do góry nogami.

Kochany, nawet nie wiesz, jak chciałabym już cię poznać.

Jak bardzo mi tego brak, i jak weszło to w moje małe jestestwo.

Czasem brodzę wśród kwiatów i myślę, jakby to było być tu z tobą.

Razem, czule spleceni pocałunkiem, dłoni żarem, czułym oddechem.

I w deszczu iść ku wychodzącemu słońcu z myślą, że było nam to dane.

A potem położyć się na łące i wdychać zapachy lata.

Poczuć latające wokół głowy motyle.

Czy i ty tak nie myślisz?

Czy i ty czujesz, że jeśli kochasz, to wszystko jest możliwe?

Bo ja wiem, że jeśli czegoś się pragnie, to przychodzi.

To się dzieje, i to przyobleka się w ciało, by potem tętnić życiem.

A ja czekałem i cierpiałem, żyjąc swoim mikroskopijnym życiem człowieka-manekina. Byłem śmieciarzem i klepałem na okrągło biedę, w nadziei, że kiedyś trafi mi się lepsza fucha, że nadejdzie piękny dzień, kiedy będę przemierzał ulice naszego miasteczka dwudziestoletnim, wypasionym cadillackiem, paląc jednocześnie markowe, kubańskie cygaro, nie martwiąc się o nic, pozostawiając to za sobą jak marny dowcip.

W słomkowym kapeluszu na głowie obdarzę uśmiechem każdego przechodnia, i bogacza, i biednego, i w głębi serca czuć się będę spełniony, jakbym wygrał los na loterii.

Póki co od świtu do nocy jeździłem zardzewiałą śmieciarką, psującą się na każdym kroku i doprowadzającą mnie do szału i pociągałem z gwinta, bo życie dość ostro

dawało mi w łeb, a ja nie chciałem być tym ostatnim z ostatnich, choć wszystko na to wskazywało.

Kupowałem najtańsze „setki” i zapijałem beznadziejnie smutki, jako że nie było we mnie niczego, co bym kochał, niczego, co bym szanował, więc staczałem się szybko i sprawnie.

Każdy poranek był mi bólem, który jednoznacznie dawał mi do zrozumienia, jakim zerem jestem i że w porównaniu z innymi ludźmi moja wartość jest żadna – czułem, że ktoś taki jak ja nigdy nie powinien się narodzić, bo kala tylko świętą matkę ziemię.

Jeśli autopogarda mogła sięgnąć zenit, moja byłaby Rowem Mariańskim.

Byłaś tylko ty, i sama myśl o tobie, i o tym, że może kiedyś uda nam się stworzyć coś z niczego, i patrząc w przyszłość, zbudować piękny dom z marzeń i w nim zamieszkać.

W głowie często słyszałem twój głos i poprzez to poznawałem cię coraz bardziej.

Byłaś moją jedyną, i gdybym miał wybierać raz jeszcze, zawsze wybrałbym ciebie.

Szeptiałaś mi do snu, czasem śpiewałaś, innym razem mówiłaś o nas kiedyś, kiedy już nic nie rozłączy, kiedy oczy złych ludzi i ich języki zapadną się pod ziemię, i pozostanie tylko pył...

Kiedy nasze drogi przetną się już na dobre, a my stworzymy pieśń ptaka wiosenną porą, gdzieś nad rozlewiskiem, nic już nie stanie nam na drodze, by pieścić tę miłość.

Do dziś nie wiem, jak to możliwe, że przez ten czas byłaś tak blisko mnie.

A było też i tak, że słyszałem twoje myśli, jakbym słyszał własne.

Były w mojej głowie, i tylko cichy szept szedł ku mnie o tym, co być może.

O tym, że stworzymy rodzinę i będziemy żyć długo i szczęśliwie, że będziemy zbierać poziomki, a gdy dzień będzie chylić się ku zachodowi, rozpalimy ognisko z kiełbaskami i zaśpiewamy Elvisa, popijając dobrym, schłodzonym, niemieckim piwem.

Kochałem cię słuchać, bo dawałaś mi nadzieję na te lepsze, piękniejsze chwile, na spacer po ciepłej plaży o zachodzie słońca, na grzybobranie gdzieś w październiku, kiedy ubrani w zielone płaszcze i brązowe kapelusze będziemy brodzić wśród leśnej ściółki.

Na dobro, które mogło w każdej chwili przyjść do mnie i pozostać.

Miałaś miękkie, matowe brzmienie głosu, kojące nerwy, w jakiś niewyobrażalny sposób dający nadzieję na lepsze jutro, na światło w tunelu, gdzie był mrok i szczury, bo

żyjąc w samotności nie można być szczęśliwym – można co najwyżej pić i okłamywać samego siebie.

Bo nie ma nic gorszego na tej ziemi jak tęsknota za drugą osobą, której nie można mieć.

Jak skowyt zbolącej duszy, w której gości tylko mrok.

I wtedy jakże pragnie się bliskości, tej małej chwili, kiedy usta spotkają usta.

- Mike, nigdy nie pomyślałabym źle o kimś takim jak ty – powiedziała Ramona. – Nawet przez sekundę w mojej głowie nie byłoby miejsca na taką myśl.

- Moje marzenia się spełniły – rzekłem, czując, że jestem we własnym niebie.

- Tak?

- Mam ciebie, Ramono, i już nigdy nie dam ci odejść.

- Nie przyszłoby mi to do głowy.

- W moich marzeniach była kobieta o pięknej duszy i ślicznym ciele.

- A w moich mężczyzna mężny i opiekuńczy.

- Kiedy mnie pokochałaś?

- Kiedy przyśniłeś mi się po raz pierwszy, kiedyś, w maju, gdy za oknem padał ciepły deszcz.

- A ja ujrzałem cię w głowie, jadąc do pracy i pijąc poranną kawę z plastikowego kubka.

- Nie miałam pojęcia, że istnieje taki mężczyzna.

- Nie jestem nikim specjalnym. Jeżdżę śmieciarką. To żaden zaszczyt, ale dla mnie póki co jedyna praca, jaką mam. Wiem jedno, że takich kobiet jak ty nie spotyka się codziennie.

- Nie mów tak...

- Muszę, bo wiem, kim dla mnie jesteś. Niewiele znaczę. Mało zarabiam. Źle śpię i budzę się codziennie z lękiem o następny dzień. Czy to nie chore? Wykonuję proste czynności, ale nie mam siły na podjęcie większej decyzji, na stanowczy krok, na życie naprawdę.

- Mamy siebie. Ja ci pomogę. Już nigdy nie będziesz się bać.

- Nie wiem... Jestem człowiekiem o słabych nerwach. Wiele w życiu przeszedłem. W sumie mógłbym nazwać się wrakiem. Kimś, kogo nie ma. Kto usiłuje trzymać się życia, a ono ciągle daje mu w najmniej oczekiwanym momencie kopniaka.

- Dla mnie jesteś wszystkim. Latem, wiosną, jesienią i zimą. Jesteś mój.

- Nigdy nie przypuszczałem, że usłyszę to od kogoś.

- Więc słyszysz to dziś ode mnie.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Mike.

Wtedy się obudziłem – za oknami lało jak z cebra.

Serce przeszył ból istnienia, poczułem się, jakbym dostał cegłą w głowę.

Znów byłem na jawie, raz jeszcze odczuwałem, jak smakuje niebyt.

Jak to jest, kiedy z lepszego świata wraca się do własnego piekła.

Jak to jest, kiedy chciałoby się żyć w krainie snów, gdzie panuje Dobro.

A wszystkim, co się dostaje, jest bolesna prawda, odarta z marzeń.

Drżącą ręką zapaliłem lampkę nocną i sięgnąłem po papierosa.

Nadal nie wierzyłem, że to był tylko sen.

Zwidy, które tworzy mózg człowieka – świadomość odrzucała tę myśl.

Wciąż widziałem jej oczy, włosy, usta i twarz., czułem ciepło jej słów, gorące zapewnienia o tym, że nic nas nigdy nie rozdzieli, że jesteśmy dla siebie, na zawsze, po wieki wieków.

Czyżbym tracił zmysły?

Jak to możliwe, że przeżyłem coś podobnego?

Przecież takie rzeczy można między bajki włożyć, podczas gdy ja naprawdę z nią rozmawiałem, czułem jej obecność i byłem tak blisko, że bliżej nie można.

I pamiętam moment, kiedy pieściłem jej dłoń: miękką i ciepłą, i czułem się, jakbym dostał najlepszą z możliwych nagród, poczuł przez chwilę raj na ziemi, spełnienie.

W głowie miałem zamęt, bo dotknąłem innego wymiaru i nie umiałem sobie z tym poradzić.

I pewnej nocy znów przyszła do mnie.

Miała na sobie kwiecistą sukienkę i zmysłowo rozpuszczone włosy, które delikatnie falowały na wietrze niczym pęk wodorostów, muskanych falą gdzieś na dnie oceanu.

Była, a jakby jej nie było, bo delikatnie istniała zwiwnym poszumem nadmorskiej bryzy.

I czule spoglądała w przestrzeń, niby szukając tam tego, czego próżno szukać w świecie.

Wyglądała jak nimfa wodna, bardziej jak zjawisko niż osoba.

Z niemym zachwytem wpatrywałem się w nią i snułem marzenia.

Czułem się jak ktoś, kto ujrzał anioła i nie bardzo wie, co z tym dalej zrobić.

Jej uśmiech wlał miód w moje serce i wnet rozpoczęliśmy rozmowę.

W jej trakcie miałem świadomość senną, więc nie mogłem postrzegać rzeczywistości jako realną – byliśmy w swoim świecie i nie przekraczaliśmy barier.

- Marzyłam o chwili, kiedy cię znów zobaczę – powiedziała Ramona.

- Chwila bez ciebie, to koszmar – odpowiedziałem.

- Nawet nie wiesz, ile kosztuje mnie czekanie na ciebie. Mój miły, czas mi się miesza, w głowie mam zamęt, i myślę, że nasza więź jednak nigdy nie wygaśnie. Jest jak ogień. Ja nie spojrzę już nigdy na innego.

- Bo kochać, to żyć.

- Właśnie, i ja żyję dzięki tobie.

- Ramono, ile to dni, ile nocy spędziłem na niczym. Na jeżdżeniu starą spierdziałą śmieciarką. Na picciu tanich wódek. Aż nadeszłaś ty. Wtedy upijałem się tobą. Wtedy odkryłem nowy świat. Świat barw i kolorów. Przestrzeń kochania. I tego, że w pewnej chwili odkrywamy, że jesteśmy komuś potrzebni, jak tlen, jak jedzenie. Jak bóg. To olśnienie zmienia wszystko.

- Byłam pewna, że kiedyś poznam mężczyznę mych snów. Mojego króla. Kogoś, kto tchnie we mnie nowe życie i zaszczepi radość istnienia. Uratuje od samotności. Bo nic gorszego nie może spotkać człowieka na tej ziemi jak samotność, jak ból jałowego bytowania.

- To ty uratowałaś mnie od tego.

- Nie jesteśmy już samotni.

- Już nie.

- Teraz mamy siebie.

Jakże bolesnym było dla mnie to, że widywaliśmy się tylko w snach.

Jakże bardzo chciałem ją przytulić i pocałować, pogłodzić po policzku.

Dać różę czerwoną wraz ze słowami, które szepcze się cicho nad ranem.

Zabrać na wiosenny spacer nad rzekę i pokazać jak do much wyskakują pstrągi.

Iść zieloną łąką aż do lasu, gdzie pod drzewem spoczęlibyśmy i napilibyśmy się kawy z termosu, wesoło gaworząc o wszystkim i niczym, jak to zakochani.

A potem nasze usta złączyłyby się i dałyby radość, o jakiej nam się nie śniło.

Aż nadszedł dzień, który miał coś zmienić...

Jak burza, jak nieoczekiwane...

Ile bezsennych nocy minęło – sam nie wiem, któż by to zliczył.

Nie przychodziła, nie miałem jej przy sobie, tylko wzrok wypatrywał w mroku.

Jeno czarna pustka znaczyła mą noc burą...

Jeno mrok nieprzebyty był mi szlakiem jedynym...

Nie miałem snów – może czasem zdechłe ryby, trupy, truchło.

I budziłem się o świcie z lękiem, dusznym i podłym.

Ile to trwało – trudno mi dziś powiedzieć.

Długo, czas zdawał się zastygać w miejscu, nie istnieć, gęstnieć.

Tylko ja szarpałem się w mej matni i biłem głową o ścianę.

Może byliśmy zbyt młodzi, by kochać?

Przeraziłem się, że już nigdy jej nie zobaczę, że nasz kontakt został bezpowrotnie zerwany.

I gdy czas zaczął przechodzić w tygodnie, poważnie zaniepokoiłem się.

Czyżby odwróciła się ode mnie?

Czyżbym już nic nie znaczył, był jeno igraszką?

Skąd mogłem wiedzieć, co to wszystko oznacza?

A może ten sen samoistnie się wyczerpał?

Lub też może Ramona chciała wypróbować moją miłość i sprawdzić mnie?

Bo i taką ewentualność brałem pod uwagę.

Wszak jej słowa miłości mogły potrzebować potwierdzenia, że padły na dobry grunt.

Jej nie było, nagle zniknęła...

W moim umyśle zagościł mrok, bo nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Popadłem w chroniczną bezsenność, i kiedy tak leżałem o trzeciej nad ranem, na ścianach spoglądałem na jej uśmiechniętą twarz, na roziskrzzone oczy, na jej ciepło.

Była...

Ale jakże odległa, jakże chwilowo nie moja.

Wyrosła w wyobraźni i tak kreująca obrazy, które docierały do świadomości.

Nie była na wyciągnięcie ręki – była marzeniem, niczym innym.

I leżąc na łóżku, myślałem o Ramonie, o dziewczynie z moich snów, której nigdy fizycznie nie poznałem, a którą kochałem od miesięcy, miłością bezwarunkową i szczerą.

Bo weszła w moje życie i w nim już pozostała.

Mijały tygodnie, mijały miesiące, lecz ona nie wracała.

Bywało, że przeraźliwie krzyczałem w nocy, gdzieś nad ranem w bezsilnym akcie desperacji, szeptałem jej imię, spadając z łóżka i płacząc jak dziecko, które dostało niezawinione lanie.

Znów zacząłem zaglądać do butelki, myśląc, że znajdę tam odpowiedź.

Wiele dni przeszło mi na pijackich urojeniach, na budowaniu zamków na piasku...

Nie zbudowałem nic poza smutkiem, który na dobre zagościł w moim umyśle.

Pijany w sztok zasypiałem jak kamień na smutnym fotelu, by budzić się w środku nocy pełnej żalości, z tą jedną, jedyną myślą: co się stało z Ramoną?

Dlaczego mnie porzuciła?

Czyżbym był aż takim śmieciem, niewartym kochania, jak ostatni pies?

A może to wszystko mi się przywidziało?

Na próżno szukałem odpowiedzi, której z resztą nie znalazłem.

Nadal tkwiłem w martwej próżni, bez cienia szansy na poprawę losu.

Ona była daleko, a ja tu, tak blisko, jak blisko bywaliśmy w naszych snach.

Nie mogliśmy się zgrać, oddzielała nas mroczna pustka bez początku ni końca.

Ciągle o niej myślałem i wyłem jak ranny wilk.

Nie mogłem zapomnieć smaku jej ust, pięknego uśmiechu, ciepła dłoni.

Tęskniłem, i moja rozpacz przybrała czarną barwę.

Łapałem się na tym, że po nocach wyglądałem co chwila przez okno, jakbym czekał, że w strugach deszczu ona nadejdzie, i będziemy już razem, po czasie kres.

Zapłakane szyby zdawały się szeptać, że na próżno czekam, że nie ma to sensu.

Ale w beznadziejnej desperacji ja co noc trwałem jak maniak przy oknie.

Bacznie lustrowałem przestrzeń tylko po to, by nic tam nie odkryć.

Piłem w nocy kawę, by nie przeoczyć momentu jej nadejścia.

Lecz moje spełnienie nie nadchodziło – wciąż tkwiłem w marazmie i pustce, a mijające minuty znaczyły jedynie szlak smutku i bezradności...

Klatka się zamknęła i ja znalazłem się w środku – bez miłości i bez szans na nią.

Szarpałem niewidzialne pręty i chciałem znów poczuć smak jej ust, wolność kochania, zabrać ją na naszą łąkę, gdzie zaśpiewają słowiki i raz jeszcze poczujemy, co to słodycz słów, które, choć proste i czytelne, mają w sobie magię, niewypowiedzianą i nienazwaną.

Prosiłem Go, błagałem, by mi ją oddał, by nie pozostawiał mnie w samotności, w otchłani bólu i w czeluści nieistnienia – ja chciałem żyć i kochać, nie umierać za życia.

By okazał litość, zrozumienie i wspańiałomyślność.

By spojrzeć na mnie łagodnym okiem i wysłuchał mych próśb, wszak nie były one wielkie – pragnienie miłości nie jest niczym nadzwyczajnym na tej ziemi, każdy chce to poczuć na sobie, mieć obok osobę, która będzie mu światem i tylko tego chciałem.

Na zimnej, kościelnej posadzce klęczałem godzinami i płakałem.

Nikt na tej ziemi chyba nie prosił jak ja.

Nikt nie był tak zdeterminowany, by jego marzenie się spełniło.

On nie odezwał się do mnie.

Nie odezwał ani razu.

Jakbym nie istniał, jakby mnie w ogóle nie było.

Może po prostu nic dla niego nie znaczyłem?

Poczułem się podle, bo nie tego oczekiwałem, nie tego mi było trzeba.

Pozostawił mnie samemu sobie, bym gryzł się dalej ze własną tragedią.

Aż nadeszło coś, czego nie mogłem się spodziewać.

Kiedy którejś nocy piłem na smutno tanie, chilijskie wino, zagryzając niezbyt świeżym kurczakiem z różną, kupionym u w barze „U Smętnego Teda”, zmorzył mnie nagły,

potwornie ciężki sen, co zaatakował jak złe słowo rzucone w złą godzinę w złym miejscu.

Spadł na mnie jak granitowa płyta, przygniatając swą masą.

Wnet zobaczyłem serię obrazów, których nijak się nie spodziewałem – uderzały swą wyrazistością i ostrością konturów, jakbym był ich świadkiem na żywo.

Ujrzałem w nich starca, który dziarsko szedł ulicą, w czerwonej czapce i zielonych butach.

Mógł mieć około osiemdziesiątki i był dość modnie ubrany jak na te czasy.

W prawej ręce miał cygaro i co jakiś czas puszczał zawadiacko dymek..

Wesoło pogwizdując, przeskakiwał między kałużami, uśmiechnięty i radosny.

Coś mi szeptało, że tak może zachowywać się tylko człowiek całkowicie spełniony.

On zdawał się nikogo nie dostrzegać, absolutnie skupiony na tym, co właśnie robił.

Po chwili wstąpił do knajpki, gdzie zobaczyłem... siebie, sączącego drinka.

Siedziałem przy barze i rozmawiałem z Dużym Mikiem, właścicielem lokalu.

Staruszek usadowił się przy mnie i zamówił to samo.

Emanowało od niego coś, co nazwałbym śmiało naturalnym, człowieczym dobrem.

Niewątpliwie należał do ludzi, których się po pięciu minutach darzy szczerą sympatią.

Poczułem w nim bratnią duszę, i jak się później okazało, nie pomyliłem się.

- A co ty tak pijesz sam, młody człowieku? – zapytał. – Problemy?

- Moja kobieta mi się już nie śni – odparłem. – Nie mam na tym świecie nikogo.

- Senne marzenia to czasem wszystko, co mamy, ale czasem bywa też, że to dopiero zapowiedź. Bo jest wiele rzeczy między niebem a ziemią, o których się nikomu nie śniło.

Ale są dni, takie wyjątkowe i niepowtarzalne, kiedy sen zmienia się w jawę.

- Mówisz, jakbyś wiedział, co mi jest.

- Znam twoją sprawę – rzekł staruszek. – Wiem o tobie więcej niż ci się wydaje.

- Tak?

- Jestem Edward z Manchesteru.

- Miło mi. Pewnie masz mi coś do powiedzenia. Chętnie posłucham.

- Znam sprawy ludzkich snów i umiem w nie wchodzić – uśmiechnął się pod nosem.

- Nie bardzo rozumiem – powiedziałem, pijąc dalej.

- Otóż sprawa nie jest taka trudna – rzekł Edward z Manchesteru.

- To znaczy? – nieśmiało zapytałem.

- Posiadam zdolność kojarzenia par.

- O!

- I co za tym idzie mogę i wam pomóc.

- Edwardzie, ale ty jesteś tylko postacią ze snu – jęknąłem.- Wiem, że to, co się między nami dzieje, to tylko sen. Ty mi się śnisz, a zaraz się obudzę znów w swoim piekle.

- Chwileczkę. Czasem to, co ci się wydaje, nie jest tym, co widzisz i przeżywasz.

A pomyślałeś, że może być na odwrót? Mózg niekiedy zawodzi, pamiętaj. Kieruj się w życiu sercem, a najdalej zajedziesz.

- Ty nie istniejesz.

- Istnieję, ale w innym wymiarze, w tym, gdzie nierealne staje się realnym.

- Nie wierzę.

- Zatem niebawem się przekonasz.

- Co masz na myśli?

- To, że twoje marzenie i marzenie Ramony się spełni.

- Jesteś Bogiem?

- Nie, tylko facetem ze snów od spełniania życzeń.

- Czyli chcesz mi powiedzieć, że my...

- Tak, że wy spotkaliście się w innym świecie, ale macie szansę w rzeczywistości. I ja dopilnuję tego, by tak się stało. Ale postaw mi jeszcze kolejkę. Zaschło mi w gardle.

- Nie ma sprawy.

- Mike, przyśni wam się dokładne miejsce randki. Tam się poznacie. Tam poznacie się jako ludzie, nie postacie ze snu. Potem wszystko pójdzie gładko, jestem tego pewien.

Nie miej do mnie pretensji, ale to ja „zabrałem” Ramonę z twoich snów, by upewnić się, że z twojej strony to naprawdę miłość, że zrobisz dla niej wszystko. Musiałem mieć tę pewność.

Przychodzę tylko wtedy, kiedy oba serca biją jednym rytmem. Nie zawsze tak bywa – wówczas nie mogę nic zrobić, po prostu czekam cierpliwie na tych, których łączy kochanie.

- Edwardzie, skąd pojawiłeś się w naszym śnie? Mogłeś przecież być zupełnie gdzie indziej

- Mam coś w rodzaju rozeznania, gdzie ktoś jest w potrzebie.

- Czyli jesteś dobrym duchem zakochanych, którzy jeszcze o tym nie wiedzą?

- Dokładnie.

- My wiedzieliśmy, ale czy pomagasz tym, którzy szukają drugiej połówki?

- Oczywiście. Wtedy podsuwam ją im na tacy. Kojarzę pary. Już o tym wspominałem.

- Jesteś wielki!

- Mam tylko metr siedemdziesiąt wzrostu, ale serce, które czuwa.

Piątego kwietnia 1965 roku miałem bardzo plastyczny sen, jakby projekcję wprost do mózgu.

Przyśniła mi się kartka z adresem klubu, w którym piłem namiętnie Tequilę.

Litery wypisane były mocną ręką – wyraziste, jak znak, którego nie można przeoczyć.

Leżała na pięknej, zielonej łące, jakby rzucona od niechcienia, a wokół niej gromadziły się ptaki, śpiewające przepiękne trele, kolorowe, radosne, pełne czegoś, co śmiało nazwałbym nieopisanym szczęściem – iluminacją tego, co w życiu znaczy więcej niż złoto.

Gdzieś, w oddali, kroczył samotny bocian i klekotał światu o tym, że warto żyć, bo to najpiękniejsza z przygód, jaka może przytrafić się człowiekowi.

Zaraz po przebudzeniu szybko spisałem dane, by nic nie umknęło pamięci.

Teraz już nie miałem wątpliwości, że Edward z Manchesteru mówił prawdę.

Ale skąd i dlaczego pojawił się na naszej drodze – to miało pozostać tajemnicą na zawsze.

Już nigdy nie dał znaku życia, już nigdy nie był blisko nas.

Pozostał postacią tajemniczą i po czasie kres będą zastanawiał się, kim był i czemu nam wtedy pomógł,

ponadto co skłoniło go do wejścia w nasz niezwykły sen.

Wciąż czułem jego spojrzenie, jego ciepłą dłoń, kiedy się żegnaliśmy.

W ostatniej sekundzie tak na mnie spojrzał, że wiedziałem, jak potoczą się nasze losy.

I w uszach miałem mocno wypowiedziane słowa, coś, co nie mieściło mi się w głowie.

- Mike? – spytała cicho, kiedy już byliśmy w klubie, nieśpiesznie sącząc drinki.

- No przecież wiesz, Ramona - odparłem. - Czytasz w moich myślach. Rozumiemy się bez słów. A jeśli nawet chcemy coś powiedzieć, to i tak będzie to telepatia. Dzięki tobie nauczyłem się pięknie mówić o kochaniu, przedtem nie byłem taki. Bardziej to czułem, niż mógłbym to powiedzieć. Jakoś było to we mnie, nie na języku.

- Mam wrażenie, że znamy się od stu lat. Że chodziłam z tobą do jednej szkoły, i bawiliśmy się na tym samym podwórku, a na murku graliśmy w kapsle. Że potem odprowadzałeś mnie do domu, zbyt nieśmiały, by pocałować. Czuję, że żyłeś we mnie od zawsze, a ja musiałam to odkryć i nazwać. Mam takie myśli, krążące wokół naszej bliskości. Bo nikt mi nie powie, że ta miłość to dzieło przypadku, nigdy w to nie uwierzę. Ty zawsze byłeś gdzieś blisko, choć ja nigdy o tym nie wiedziałam. Może urodziliśmy się pod tą samą gwiazdą?

- Poznaliśmy się na błoniach zaświatów – powiedziałem poważnie. – Ludzkie losy to niezbadana niewiadoma, to przenikanie się wymiarów.

- Dobre określenie – przytaknęła.

- Kiedy śniłem o tobie, marzyłem o miłości po grobową deską. Miałaś być tą, z którą zechcę się zestarzeć i mieć gromadkę dzieci. Przez całe życie kochanie było dla mnie nieosiągalnym snem, czymś, co mogło uroić mi się w głowie w pijackim zwidzie. Dziś już wiem, że kiedy dwoje ludzi jest sobie pisanych, nic ich nie rozłączy, nie ma takiej siły. Wierzę w to, jak w zmienność pór roku.

- Ja też.

- Czy miłość zrodzona w innym wymiarze ma większe szanse na przetrwanie niż ta, która rodzi się tutaj, na ziemi?

- Miłość pozostanie sobą. I jej pochodzenie nie będzie aż tak ważne. Istotne są osoby – to one zapiszą tę czystą kartę.

- Nasze drogi musiały się przeciąć. Wiem to i to jest w tym wszystkim najpiękniejsze.

Bo są ludzie, którzy nigdy nie odnajdą swojej połówki. Będą błądzić w ciemnościach i gdzie by się nie ruszyli, zawsze popełnią błąd, który może zaważyć na całym życiu. Wierzę, że człowiek rodzi się do miłości lub nie. Stąd tylu samotników dookoła.

- Zjedzmy coś, rozmawianie o miłości sprawia, że robię się głodna – powiedziawszy to, sięgnęła po menu. – Chyba już powiedzieliśmy wszystko, nieprawdaż?

- Pomyślałem o tym samym – odparłem z uśmiechem,
zapalając Pall Malla.

20 stycznia 2019

Koniec Wersji Demonstracyjnej